

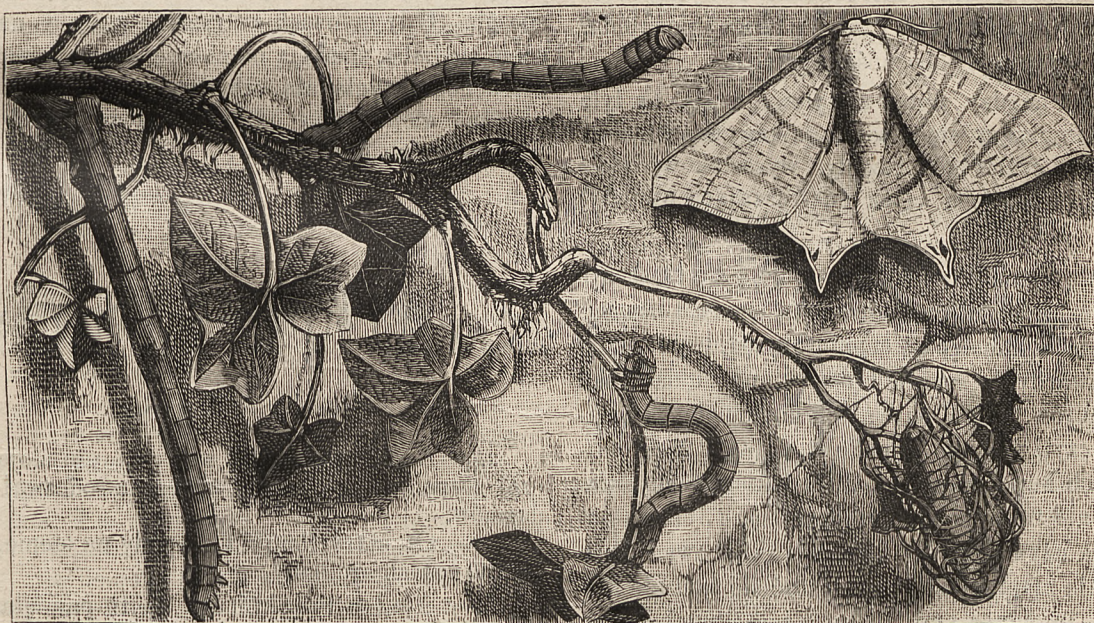


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Widome a niewidzialne.

Widome a niewidzialne.

Widzieć wszystko, samemu będąc niewidzialnym, musieli ludzie niegdyś uważać za coś bardzo pożądanego, skoro wytworzyli sobie piękną bajkę „o czapce niewidce” którą ka-

żdy z nas chyba słyszał w dzieciństwie. Kto tę czapkę posiadał, mógł wszystko widzieć, ale sam stawał się niewidzialnym. To co fantazja ludzka wytworzyła w bajce, istnieje w naturze naprawdę: motyle naprzykład i ich gąsienice, posiadają własności pozwalające im stawać się niewidzialnymi, gdy chcą uniknąć pogoni polujących na nie skrzydlatych nie-

przyjaciół. Może kto pomyśli, że każdy motyl posiada czapkę niewidkę? O nie! jestto coś jeszcze bardziej zdumiewającego, jeszcze cudowniejszego! Nic ich nie zasłania, a jednak bywają niewidzialne: instynkt wie, że do poszukiwania przedmiotów zbliżonych barwą do barwy ich skóry, lub skrzydeł — i to podobieństwo je ocala.

Wiele jest gąsienic, czyli liszek barwy ciemno-brunatnej tak zbliżonej, do barwy kory drzewnej, że trudno je od niej odróżnić: to też wiecznie po niej pełzają. Między gąsienicami motyli nocnych, czyli ćmami, jest jedna zwana *miernikiem* z powodu swego szczególnego zachowania się; odbywa bowiem ciągle takie ruchy, jakby kto cyrklem mierzył powierzchnię. Przyczyną tego jest brak zupełny nóg środkowych: chcąc więc chodzić, musi tylne nogi przysuwać aż do przednich, przyczem całe ciało wygina łukowato. Ona, oraz kuzynka jej bliska, gąsienica *ćmy bzowej*, przedstawione na rycinie naszej *), mają zwyczaj chwytania się gałęzi drzewa tylnymi nóżkami i utrzymują całe ciało w podniesionej, sztywniej postawie, co czyni je podobnymi do suchej gałązki. Wybieg ten naturalnie tylko ptaszki owadożerne w błąd wprowadza, ale nie omyli przyrodnika, badającego z zamiłowaniem zwyczaje owadów. Dość jest uderzyć czemś mocno w gałąź albo pień drzewa, a przestraszone liszki spuszcza się natychmiast w dół na swych nitkach jedwabistych — bo im się zdaje, że niebezpieczeństwo od samego drzewa pochodzi i że go unikną opuszczając je. Liszki zielone trudno jest odróżnić od liści na których siadają, zwłaszcza w gęstych lasach, gdzie odbicie światła zielonego pada na wszystkie przedmioty. Przyzwyczajaliśmy się uważać kolor zielony za właściwy jedynie roślinom i zapominamy o tem, że niektóre zwierzątka także zielone noszą szaty. Gąsienica motyla białego, *kapustnika*, leży nieruchoma i wyciągnięta w kierunku nerwów liścia kapusty, i tak się z nim upodabnia, że nawet domyśleć się tam jej obecności nie można.

Wiele liszek, a między niemi motylowe, mają na tyle głowy wyrostek, ściągający się i rozciągający w potrzebie. Jak tylko owad jest czemś przerażony, wyrostek wydziela natychmiast mocno woniejącą ciecz odstraszającą nieprzyjaciela.

Poczwarki równie jak gąsienice, umieją się troszczyć o swoje osobiste bezpieczeństwo. Gąsienica *pawika nocnego wielkiego* snuje sobie w miesiącu sierpniu oprzęd, czyli kokon brunatny bardzo twardy, w szparach drzew, na ruinach lub na krawędziach murów, gdzie barwa ich doskonale ją osłania. Domek ten, czyli namiot, w podziw wprawić może największej pomysłowych budowniczych rodu ludzkiego — nie przepychem budowy, ale roztropnem urządzeniem. Jest on podobny do węgierza używanego do łowienia ryb: owad może wyjść ztamtąd, ale nieprzyjaciół przedostać się tam nie może. Liszka *Siwica* przędąc swój kokon w szczelinach drzew, potrzebuje do budowy drobnutkich cząsteczek drzewa; ale ono jest zatwarde, a ona zaślaba żeby je kruszyć. Znajduje jednak na to sposób: skrapia je płynem gryzącym, i pod działaniem tego płynu drzewo mięknie, a ona może już z łatwością użyć cząsteczek jego do budowy domku, w którym zamknie się szczelnie dla spokojnego dokonania swój przemiany, zacierając wszelki ślad istnienia domku przed okiem

*) Obok gąsienicy *ćmy bzowej*, jest motyl jej i poczwarka w oprzędzie.

ludzi i ptaków. Rozdrobnione cząsteczki kory, służą wyborze do zalepiania szczeliny i nadania jej barwy pnia w którym się mieści.

Najwięcej owadów ma podobieństwo do liści lub pni drzewnych: samica *cytrynka* koloru bladezielonego, podobna do liścia szakłaku, trzyma się spodniej strony tego liścia, jako bledszej i więczej do niej podobieństwem zbliżonej, niż strona wierzchnia. Motyle zimujące, podobne są prawie wszystkie do suchych liści: *prządka dębowa* nosi nawet charakterystyczną nazwę „martwego liścia”: ciało jej i skrzydła rudawe i ząbkowane, mają rzeczywiście uderzające do zeschłych liści podobieństwo. Inny znów motyl z powodu szarobłękitnego koloru skrzydeł, spoczywa często na zabarwionych niebiesko murach, a w braku ich usiłuje ukryć się na szarych spojeniach cementowych. Cegiel czerwonych starannie unika. Jeżeli kto z czytelników naszych miał kiedy w ręku motyla i przypatrzył mu się zblizka, musiał zauważyć, że jedna para skrzydeł jest zawsze świetniej zabarwiona niż druga, której skromne i zwykle ciemne barwy, naśladują często różne martwe przedmioty, dające im schronienie i przytułek. Pan Bóg obdarzywszy motyla strojem bogatym, dał mu także sposób ukrycia go w potrzebie. Zabierając się do spoczynku, motyl przykrywa swoje świetne szaty mogące obecność jego zdradzić, parą ciemnych, niepozornych skrzydeł, niby książkę przebierający się za wieśniaka i jest bezpieczny.

Ale nietylko motyle umieją stać się niewidzialnymi. W krajach podzwrotnikowych są tysiące gatunków owadów mających też same własności. Przyczepione do kory drzew uschniętych, tak się zlewają z jej barwą i chropowatością, że z blizkiej nawet odległości dojrzeć je trudno. Nasze krajowe chrząszcze, należące do grupy *wołków* i przebywające na różnych roślinach, biorą się znów na inny, niemniej dowcipny sposób. Gdy człowiek wstrząśnie gałęzią na której obrały sobie siedzibę, spadają na ziemię, chowają nogi i różki i leżąc nieruchomo wyglądają niby bryłki brunatne i szare, których odróżnić niepodobna od bryłek ziemi i drobnych, podobnie zabarwionych kamyczków.

Z. Urbanowska.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

— A ja kupuję tutaj wieprzki, oto moje papiery — zaczął gospodarz z czardy, ale zaraz odezwało się kilku żandarmów:

— Ot, stary Petöfi z gospody na stepie, któż ciebie pyta, nie takich szukamy.

— Ale ten Pal którego ja tu pamiętam inaczej jakoś wyglądał?... — rzecze pandur.

— I!... to wy tamtego pamiętacie, co tu przed laty był? Tamten umarł.

— Gdzie zaś przed laty, niema i paru tygodni jak my tu byli!...

— I!... toż ja ten sam!... a ot papiery moje.

— Ojcie, ojcie, dla czego on prawdy nie powiada? wszak on jest Sebes nie zaś Pal? — pytał Szandor, szczęściem dosyć cicho, a Petöfi przyciskając do piersi zdumionego chłopczyne, szepnął mu do uszka ciszej jeszcze:

— Milcz dziecko! Ani piśnij!...

— Ten sam?... — żandarmi byli wielce niepewni; papiery

byli w porządku, ale oczy przeczyły papierom; nie należało też niesłusznie zaczepiać niewinnych:

— Licho was wie, wszyscy kanasze podobni są do siebie, ale... a gdzież to jest ten drugi kanasz?

— Jaki drugi?

— Ten który jadł z wami gdyśmy przyszliz? Przecież był drugi?

— Był był! — chórem potwierdzili żandarmi.

— A prawda!... — wielce zdziwiony rzecz oglądając się Sebes — prawda że przechodzący jakiś przysiadł mi się do misy, jak się u nas często zdarza, a ja o nim zapomniałem. Ciekawość gdzie on się podział?... —

— Ojcie, przecież Sebes sam kazał tamtemu w las iść?... — szeptał Szandor.

— Cicho dziecino, jeśli ci życie miłe — odpowiadał ojciec na ucho.

— Co? znikł? I ty nie wiesz co on za jeden? to pewno ten którego szukamy! Hejże za nim w tropy! To Sobri co wczoraj uciekł z więzienia! — zawoła żandarm.

— Sobri? który wieprzaki powierzone sobie do hodowania kradł i na targu sprzedawał? To on uciekł? — zakrzyknie Petöfi, pokombinowawszy na prędce w myśli nagle zjawienie się przy misie nieznanego kanasza, który podobno wprzód spał w budzie, z jego tajemniczym zniknięciem.

— Uciekł a dozorcę związanego i wpół nieżywego znalezione w jego miejscu w więzieniu. Dalej za nim, tam musiał pójść, nie mógł w inną stronę!... a tam stoi drugi nasz oddział, mamy rybę w sieci! — zawołał dowódca żandarmów i wszyscy skoczyli w stronę zarośli, ale jednocześnie świsnęło coś w powietrzu, i kilka arkanów na jakie czikossy łapią swe konie, spętało kilku żandarmów. Wszyscy nagle instynktowo zwrócili się do szerszej przestrzeni z której przybywali, gdyż arkan jako potrzebujący rozmachu, nie mógł wypaść z gestwiny, ale zaledwo odwrócono się od niej, wyskoczyło z niej kilku kanaszów chwytając wprost za gardło, każdy upatrzonego żandarma:

— Strzelać do tego który mię dusi, nie zważać na mnie, to Sobri! — komenderował zdławionym głosem dowódca żandarmów, a Szandor oburącz trzymający ojca za szyję, poznał w owym duszącym istotnie tego, który jadł z nimi przed chwilą z jednéj misy.

— Sobri!... ratujcie! pokradnie mi świnki moje! — zakrzyczał rozpaczliwie Sebes, mianujący się Palem, i jak nieprzytomny ze strachu, rzuciwszy się na zamierzających strzelać a ociągających się przez wzgląd na niebezpieczeństwo grożące koledze, żandarmów, wyrzucił z nich dwóch i sam padł na nich. To dokonało popłochu; w chwilę później, po krótkiej walce na pięście, nietylko żandarmi lecz i Sebes i Petöfi leżeli powiązani, a Szandor tulił się do ojca odurzony i bardziej odurzony niż wylekły, bo rozbójnicy głaskali go po głowce, szepcąc: nie bój się. Żandarmi kłeli, dowódca jęczał leżąc koło Janosa i Petöfięgo:

— Dla Boga żywego — szeptał Janosowi — jeżeli nie macie broni, niech kto choć z bicia palnie, a wnet dziesięciu innych moich ludzi przyjdą nam z odsieczą, bo czekają na to hasło! Ale Janos związany był jak wszyscy, a bójka cała odbyła się właśnie bez wystrzału. Tedy żandarmi chcieli krzyczeć pomocy, ale zaraz zatkano im usta. Następnie Sobri zapalił fajkę, jego banda zrobiła toż samo, potem przepatrzyli kieszenie żandarmów, zabrali wszystko co znaleźli, od broni zacząwszy, poczęstowali wszystkich winem, uściskali po bratersku i znikli. Żandarmi którzy drżeli ze strachu obawiając się najgorszych ostateczności, zaczęli spoglądać po sobie zdziwieni.

— Poczeiwe chłopaki, prawdziwe szegeny legeny! — powiedział ten i ów. — Ale pokąd my tu tak jak barany leżeć będziemy? — Wołano teraz ale nikt nie przychodził.

— Moje świnki porozbiegają się! Będę ja miał, będę, gdy pogina! ludzie powiedzą że je w mieście posprzedawałem! — rozpacział Sebes.

— Kiedyż ja do czardy z moim towarem powrócę? — jęczał Petöfi. A wtem Sebes zawoła:

— Szandor, dziecko, biegnij no do misy gdzieśmy jedli, toż tam przy chlebie nóż musi leżeć, jeżeli go szegeny legeny nie zabrali, rozetnij choć jednemu z nas więzy a wnet wszyscy będziemy wolni! — Nóż się znalazł i w kilka minut wszyscy wolni byli. Żandarmi popędzili coperdziej do towarzyszków i znaleźli ich powiązanych i odartych o ile tylko było z czego. Mogło być gorzej... zawsze to poczeiwi chłopcy ci szegeny legeny — szeptało. Wrócili natychmiast do Sebesa-Pala, prosząc go o chleb, bo okrutnie biedaczyska byli głodni, po niefortunnej wyprawie na zbiegłego więźnia. Sebes musiał się tego spodziewać, bo przyrządzał już wieprzowinę. Petöfi po serdecznym z towarzyszkami przygodzie pożegnaniu, siadł na wóz z synem i parobkiem, Janos palnął z bicia aż echo huknęło po lesie i wypoczęte koniki dmuchnęły z powrotem przez pusztę jak stepowy wichur, pozostawiając żandarmów przy misach ściskających się po bratersku z Sebesem Palem.

— Ha ha ha hu ha!... — zanosił się ze śmiechu Janos lecąc przez stępy — a toż szegeny legeny udawali tylko że mnie wiążą, gdybym był palcem ruszył, byłbym więzów pozbył, ale nie głupim, jeszczeby żandarmi powiedzieli że my z tamtymi w porozumieniu! Leżałem i śmiałem się w duchu! Ha ha ha!

Petöfi kręcił wąsa w milczeniu, jemu też nie wypadało powiedzieć, że w zupełnie takim samym znajdował się położeniu. Szandor, gdy strach przeszedł, zachwycony był teraz obfitą w wypadki przejażdżką, czuł się znacznie starszym niż rano, wymachiwał rękami i wykrzykiwał jeszcze głośniej i co chwila rękę mimowoli do wąsów podnosił, z madziarską fantazją.

Tak z szalonym pośpiechem zajechano przed czardę gdzie matka pochwyciła rozochoczonego jedynaka, słuchając opowiadań bez końca, a gospodarz z parobkami zajął się przyrządzaniem świeżo przywiezionego zapasu, na jutrzejsze niedzielne zebranie w gospodzie.

(d. c. n.)

Sprostowanie. W ostatnim numerze Wieczorów na szpalcie pierwszej, stronicy 18-téj po wierszu 51, opuszczono przez omyłkę drukarską następujący ustęp z powyższej powieści:

„W miarę jak wjeżdżano w centrum owczéj armii, beczenie zwiększało się przeraźliwie, a muzyki prawdziwéj wcale już słyhać nie było. Szandor śmiejąc się zatykał sobie uszy przed „baranią pieśnią”, gdy wtem oczy jego biegające po tem stadzie, które samo teraz zdawało się ze wszech stron być stepem bez granic, zniерuchomiały nagle roztwierając się coraz szerzej pod wpływem przerażenia:

— Ojcie!... a tam co?... to wielkie czarne? Jeżeli także jakieś stado, to cóż to za ogromne jakieś zwierzęta? Większe chyba od naszego domu? Chłopczyk nie myśląc o tem zdawał sobie bardzo dobrze sprawę z odległości: w istocie, jeżeli to co na krańcu widnokregu ukazywało się jak czarny podłużny potwór było stadem, to każde ze zwierząt tych musiało być wyższem od czardy. Spojrzał ojcu w oczy, a widząc że się uśmiecha, uspokoił się w swéj obawie dziecięcinéj, ale nie w ciekawości i zdziwieniu. To też zwracał oczy na owo dziwo, tak że już nic więcéj nie widział. A dziwo rosło i potężniało z każdą chwilą, za każdym kół obrotem, a wóz pędził jak szalony. Nareszcie dziwo było już blisko i Szandor zbladł pod wrażeniem: dotąd, wychowaniec pusztę widział zawsze tylko step bezbrzeżny, zielony lub biały zimą, jednoząc się z niebem ze wszystkich stron na krańcach widnokregu; a oto pierwszy raz stanęło coś pomiędzy niebem i ziemią, coś czarnego, okropnego!

Wrażenie było tak wielkie, że chłopiec zaniemówił, im bliżej tem bardziej pochylał się naprzód jak pociągany urokiem okropności, aż gdy z jasnego stepu rozpedzona czwórka z wozem wpadła w rozwartą ciemną paszczę potwora, Szandor upadł w tył jak uderzony tuląc się w objęcia ojca.”

RYŚ.

URYWEK Z PODRÓŻY.



głośnie — trzeba natychmiast go ubić, bo inaczej porozszarpuje nam cały dobytek, hyle tylko krew ciepłą wypijać; a jeżeli jeszcze potrafiłby się tu zagnieździć i młode wychowywać, zginęlibyśmy zupełnie!

Spiesznie wróciwszy do domu przygotowano wszystkie żelazta, samotrzaski do chwytania dzikich zwierząt, bo gospodarstwo w tej okolicy zaopatrzone było w środki obronne. Poroznosiliśmy i pozostawiali te pułapki w różnych miejscach, które doświadczenie wskazywało gospodarzom jako najwłaściwsze. Do każdego samotrzasku przywiązaliśmy żywą sztukę ptactwa lub domowego drobiu, poświęcając je dla uniknięcia strat innych, ważniejszych. Potem wróciliśmy do domu starając się jak najmniej śladów zostawić za sobą. Nie później jak w godzinę usłyszeliśmy jęk przeraźliwy zbliżony wielce do wycia psa, na który wszystkie psy odpowiedziały zajadłym ujadaniem. Natychmiast podążyliśmy za głosem i ujrzeli wkrótce rysia w rozpadlinie skalistej pod nawpół złamanem drzewem grzęznącym w śniegu; zprzedniemi łapami uwiecznionymi w żelazie, w pięknym futrze jasnorudęj barwy z czarnobrunatnymi plamami i białawem podbrzuszem, szalał z gniewu usiłując się próżno wyrwać z samotrzasku, oczy jego ciskały błyskawice, gdy padły na nas. Gościnni gospodarze przez grzeczność ustąpili mi strzału. Zmierzyłem swobodnie i wypaliłem prosto w łeb... Krysta tymczasem stojąc koło mnie trzymała ze wszystkich sił psa ulubieńca, aby nie skoczył, narażając się bezpotrzebnie na straszliwe szpony wroga, który po chwili przestał być niebezpiecznym. Szczęściem pokazało się z czasem, że nie zostawił w okolicy potomstwa. Dobytek mieszkańców był znów na jakiś czas bezpieczny.

LABIRYNTY.

Znane są czytelnikom naszym „nitezki Aryadny” umieszczane w „Wieczorach”, wiadomo też z mitologii z bajecznych dziejów Grecji, że Aryadna była to córka Minosa króla wyspy Krety. Królowna ta, zlitowawszy się nad Tezeuszem królewiczem ateńskim idącym zabić potwora Minotaura, karmionego ateńskimi młodzieńcami i dziewczętami, oddawanymi mu w wymuszonym po przegranej wojnie haraczu,

dała królewiczowi kłębek z niemi, za pomocą którego Tezeusz potrafił dostać się w głąb labiryntu, zabić strzeżonego tam Minotaura i wydostać się napowrót na świat. Labirynt ów zbudowany miał być na mieszkanie, a raczej więzienie dla potwora Minotaura, pół byka, pół człowieka; budowniczym był sławny *Dedal Daidalos*, co znaczy po grecku sztukmistrz, a właściwością labiryntu było to, że ktokolwiek weń wszedł, ten musiał zabłądzić wśród niezliczonej ilości zakrętów, i nigdy już więcej na świat wyjść nie mógł. Tyle z dziejów bajecznych co zaś do prawdziwych, te nie wiadome nikomu. Pewnem jest tylko że labirynt istniał rzeczywiście, bo szczątki jego widzialne są dotąd na wyspie Krecie, przedstawiając zakręty, których wzór podaje rycina nasza. W starożytnych a później w średnich wiekach budowano podobne labirynty, w jakim wszakże celu? tego nikt nie wie. Być może, że przeznaczeniem ich było tworzyć kryjówki bezpieczne w czasie napadów nieprzyjaciół. Domniemanie to potwierdzać się zdaje i ta okoliczność, że za czasów chrześcijańskich budowano je zwykle przy kościołach. Kilka takich labiryntów, których wizerunki umieszczamy obok kreteńskiego, przechowało się przy kościołach francuzkich w Sens.

Siedzieliśmy wszyscy u ogniska w niedużem, a zaciśnżem skandynawskiem domostwie, gdy krzyk rozpaczy rozległ się nagle u drzwi:

— Ren! Ren zamordowany! — krzyknęła wpadając Krysta najstarsza córka gospodarza: żałosne szczekanie psa podobne do jęku wtorowało jęj krzykom. Wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi przerażeni, i ja przecież pojmowałem już czym jest ren dla jego właściciela. Stał się gwar nie do opisania. Pokazało się, że ren nie był pierwszą ofiarą tajemniczego jakiegoś mordercy, ale ludzie zapracowani zaniebdali natychmiast przedsięwziąć środki celem zabezpieczenia się od większych szkód, a teraz gorzko wyrzucali sobie własne niedbalstwo. Jednocześnie starsi zbierali się spiesznie do wyjścia: szedłem i ja, Krysta biegła przed nami wskazując drogę. Wkrótce wśród skał ujrzelśmy szczątki rena. Ludzie stali chwilę z załamanemi rękami nad tym cennym dobytkiem swoim straconym, potem jeli bacznie oglądać szczątki. Krew była widocznie wyszana, wnętrzości wyżarte a część głowy wygrzyziona, reszta całkowita prawie, zwierze wspaniałe rozszarpane było tylko, ale nie zjedzone.

— To ryś!... ryś, zbrojca przeklęty! — zawołano jedno-

w Saint Omer w Saint Quentin w Bayeux. W późniejszych czasach urządzano już tylko dla zabawy labirynty w ogrodach.

MYSZY TAŃCUJĄ GDY KOTA NIE CZUJĄ.

Komedyjka w jednej odsłonie,
OFIAROWANA GOSPOSI Z NAD PILICY I JĘJ BRACIOM.

OSOBY.

AŃDZIA lat 14. — ZYGMUŚ lat 9. — STAŚ lat 8. — ZOSIA lat 6.

(Scena przedstawia pokój dziecinny, na środku stół z książkami w nieładzie, na przodzie sceny duże lustro, w głębi komoda lub szafa).

Scena I.

AŃDZIA (siedzi i pisze po chwili rzuca pióro). Więć to już ostatni miesiąc spędzam w domu... ostatni... a potem zapako-

mama robi mi takie krótkie sukienki, nie rozumiem, przez to mnie wszyscy biorą za dziecko. Czternaście lat! Za dwa lata będę już dorosłą, włożę długą suknię. O radości! Niechno wtedy jaki kuzynek ośmieli się zapytać mię o Lineusza, Herodota, lub coś podobnego, zmierzę go tak surowem spojrzeniem, (nastraja odpowiednio minę przed lustrem) że nie będzie wiedział co ma mówić dalej. Dopiero się wtedy uśmieję. (Po chwili). Ale ja tak gawędzę a tu czas uchodzi i ćwiczenie nieskończone. (Patrzy w okno). Słońce tak nęci i wabi do ogrodu, że nie mam siły zabrać się do pracy. Ech, co tam! korzystajmy z resztek swobody. Odpocznij sobie tutaj mój kajeciku do jutra, bo mamy niema w domu, a ja idę trochę pogonić za motylami i pobiegać z braćmi w ogrodzie. (Tańczy po pokoju i wybiega śpiewając).

Będziem się bawić, tańczyć, śpiewać,
Do życia jest konieczny śmiech,
To lepsze niż nad książką ziewać,
Taniec nie zbrodnia — śpiew, nie grzech! (wybiega).
(Wchodzi Zygmus za nią Staś).



Labirynt kościelny w Saint-Quentin.



Labirynt kościelny w Bayeux.



Labirynt kretański.



Labirynt kościelny w Saint Omerze.



Labirynt kościelny w Sens.

wawszy manatki na pensya... Zegnaj swobodo, swawolo! Zegnajcie pola, łąki, lasy!... (po chwili). Dziwnego doprawdy wrażenia doznaję na samą myśl pobytu na pensyi, nie wiem czy mam się cieszyć czy smucić; czasami lękam się, by mnie zanadto nie ujęło w karby, by nie kazano śleczyć dzień cały nad książkami, to znów pragnę tam być copredziej. Mieć tyle towarzyszek, z każdą wspólne tajemnice, ach jak to musi być przyjemnie! A jak przyjadę na wakacje przecież mnie nikt już nie będzie uważał za dziecko, będę już prawie dorosłą; nigdy, nigdy nie będę mówić o lekcjach ani o książkach jak teraz... naprzykład ten nieznośny kuzynek Józio zawsze mnie zapytuje (naśladuje głos) „Ańdziu, kto był pierwszym historykiem greckim”? lub: „Do jakiej rodziny podług Lineusza należy kapusta”? i t. p. Nieznośny! jakby nie mógł znaleźć dla mnie innego tematu do rozmowy, ot choćby opowiedzieć mi o ostatnim balu w ratuszu. Przecież to zabawniejsze. Dziecko... dobrze... przecież ja mam już lat 14 i na swój wiek nie małą jestem wcale. (Wstaje przygląda się sobie przed lustrem, obracając się na wszystkie strony i wspinając na pulce). Czemu to

ZYGMUŚ. Wiesz, wiesz, mamy w domu niema, pojechała do cioci i nie wróci aż późno wieczorem; toż sobie użyjemy swobody i zabawimy się dobrze. Otóż Andzi już niema, pobiegła do ogrodu, nie skończyła nawet lekcyi. Zabawna ta Ańdzia kiedy chce udawać dorosłą osobę; trzebaby jęj spłatać jakiego figla. (Siada i pisze na otwartym jęj kajecie, mówiąc głośno).

Łaskawa panno Anno.
Widać, żeś dorosłą panną,
Boś ćwiczenia nie skończyła
A kajety rozrzuciła.

STAŚ (odbierając mu kajet). Daj pokój kajetom Andzi, a powiedz lepiej jakby użyć tego czasu. Możeby się przejechać na kucach, albo poprosić Jaska żeby nas przewiózł łódką po stawie. Ale trzebaby się wymknąć w sekrecie przed starą Barbarą, bo mama zapowiedziała jęj surowo, aby nas nie puszczała do stajni ani nad staw.

ZYGMUŚ. Zostawmy przejażdżkę na później jak będzie

chłodno, a teraz w czasie upału zabawmy się w pokoju. Żeby tylko wynaleźć co dobrego, zawsze ja muszę łamać sobie nad tem głowę, bo twoje pomysły na nic się nie zdadzą.

STAŚ. A twoje wywołują zwykle gniew i niezadowolenie mamy, bo zostawiają ślady swawoli w całym mieszkaniu.

ZYGMUŚ. Zabawny jesteś, jakże się bawić inaczej? To właśnie nazywa się korzystać ze swobody. Mamy dość czasu zachowywać się spokojnie, jak starsi na to patrzą.

STAŚ. Ale my się tak sprzecząmy o nic, a tymczasem całe popołudnie zejdzie i nie użyjemy go.

ZYGMUŚ (*skacze*). Brawo! brawo! mam projekt, który wam się pewno podoba, będziemy prowadzić wojnę.

STAŚ. Wojnę, naprawdę? A zkadźe broni weźmiemy i we dwóch przecież nie możemy stanowić całego wojska.

ZYGMUŚ. Nie lękaj się o nie, zwołaj tylko Zosię i Gucia i posłuchajcie co wam powiem.

STAŚ (*wysuwa się za drzwi i woła*). Zosiu, Guciu, chodźcie tylko prędko, zabawmy się razem. (*Wchodzą Zosia i mały Gucio*).

ZYGMUŚ. A teraz uważajcie: Ja będę Janem Sobieskim, będę bronił Wiednia, a wy jako Turcy chcecie miasto zdobyć.

STAŚ. Pewno zechcesz nasz bić jak zawsze, to ja będę Janem Sobieskim, a ty sobie bądź Turkiem.

ZYGMUŚ (*pogardliwie*). Co mi to za dowódca z ciebie taki mały i kusi, wcaleby się Turcy nie bali.

STAŚ. A ty to niby jesteś dużo większy odemnie, a gdzież to masz wąsy? czy nie czytałeś w „Guciu zaczarowanym. Oto bohater, co Wiedeń zbawił. Jakże mu pięknie z temi wąsami”.

ZYGMUŚ. A prawda (*zamyśla się*). Ale i na to jest rada. (*do Stasia*). Idź tylko przynieś łaskę ojca, to będzie mój miecz wy się uzbrojcie w linie i kije, a ja tymczasem zrobię sobie wąsy.

(*Dzieci wychodzą i wracają po chwili z kijami, a Zygmus wyjmując z pieca węgiel i rysuje sobie pod nosem ogromne wąsy*).

ZYGMUŚ. A co czy nie podobny teraz jestem do Jana Sobieskiego (*Wskakuje na krzesło i wywija kijem*). Wszak można teraz powiedzieć o mnie: „Wart berła, kto się mieczem berła dobył”.

STAŚ. Ale my wcale do Turków nie jesteśmy podobni, przecież widziałem na obrazku, że oni byli poubierani w jasne kolory i mieli turbany na głowie.

ZYGMUŚ. O, na to najłatwiej poradzić, zaraz będzie wszystko. (*Otwiera do szuflady, wyjmując ręczniki, którymi owija dzieciom głowy a na plecach zawieszają im kolorowe fartuszki siostr*). No, a teraz baczność! (*Wchodzi na krzesło i wywija łaską, dzieci przypatrują się z podziwem*). No, zbliżcie się tu, wcale się was nie boję. Pobię wszystkich. (*Dzieci przyskakują z kijami, Zygmus zasłania się ciagle*).

STAŚ. Co mi to za bohater taki, nawet siebie obronić nie umie.

ZYGMUŚ (*woła z płaczem*). Aj, moja noga! Nie znasz się wcale na żartach, tak bijesz, że mnie boli. Nieznośne dzieciaki, nie będę się wcale z wami bawił, idźcie sobie!

STAŚ. Czyś ty widział, żeby jaki Turek żartował w bitwie z Janem Sobieskim zwłaszcza?

ZYGMUŚ. Ależ ja nie jestem prawdziwy Jan Sobieski. (*schodzi z krzesła ostrożnie, trzymając się za nogę*).

(*Andzia wbiega zmęczona, czerwona z rozrzuconymi włosami i oberwaną suknią*).

AŃDZIA. Stasiu, Zygmus! gdzież wy się kryjecie? Wiecie, mama nie zastała cioci w domu i wróciła. Co ja zrobić, jeszcze nie napisałam ćwiczenia. (*Biegnie do kajetu, a spostrzegłszy wiersz napisany przez Zygmunta, obraca się do niego z wyzywającą*). Niedobry chłopcze, jak mogłeś mi wyrządzić taką krzywdę, cała moja praca na nic, muszę wydrzeć dwie kartki, (*wydziera*),

(*W ciągu tego mniejsze dzieci rozbiegają się i wychodzą*).

ZYGMUŚ. Zostawiłaś kajet na stole, myślałem, że nie jest potrzebny; przecież ty, która za dwa lata (*z naciskiem*) będziesz dorosłą panną, stosujesz się chyba do woli mamy i chowasz książki i kajety po skończonej lekcyi.

AŃDZIA (*z gniewem*). Tylko zaprzestań tych niedorzecznych uwag (*ogląda się po pokoju*). Boże! co tu za nieporządek, któż to zrobił?

STAŚ. To Zygmus wymyślił taką zabawę w wojnę z Turkami i wszystko poprzewracał.

ZYGMUŚ. A ty to pewnie nie należałaś do tego, zawsze składasz winę na innych. Powiem mamie, że mi porobiłeś sińce na nogach.

AŃDZIA (*spozstrzega wąsy Zygmunta i turban Stasia*). No, moi braciszczkowie, niedaremnie obawiamy się wzajemnie, bośmy, jak widzę, wszyscy chcieli nadmiernie użyć swobody. Nie wiem tylko, czy się to mamie podoba?

ZYGMUŚ I STAŚ (*razem*). Moja jedyna Ańdziu, pomóż nam poukładać i poustawiać to wszystko zanim tu kto przyjdzie.

AŃDZIA (*porządkując swoje ubranie*). Dobrze, moi drodzy, Zygmus niech się pozbędzie tych bohaterkich wąsów, z którymi mu wcale nieładnie, Staś tego tureckiego turbana i prędko zabierzmy się do przywrócenia ładu, żeby mama nie mogła powiedzieć jak zwykle: „Myszy tańczą, jak kota nie czują”. A od dziś pamiętajmy zawsze o tem, co mówi ojciec, że dobra jest swoboda, gdy jej się rozsądnie użyć potrafi.

STAŚ I ZYGMUŚ (*ściskają Andzię*). Wiwat nasza siostrzyczka! teraz to mówi tak rozumnie, jak dorosła panna.

(*zasłona spuda*).

Paola Zabokrzecka.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Istotnie woda była czysta i obfita. Czarnulo pił i pił bez końca tak, aż się grubszy zrobił i trzeba było mu rzemienie rozpuścić. Ale największy kłopot był z małpami: jak je tu napoić, żeby przytem nie uciekły? Menito ułatwił od razu tę trudność, wstawiając po prostu klatkę w wodę, w ten sposób więźniowie mogli się napić do syta z wszelkiem bezpieczeństwem. Podczas, gdy przewodnik przygotowywał posiłek, dwaj młodzi chłopcy poszli myszkować w okolicy, i wkrótce przynieśli morwy i smaczne winogrona. Po uczcie, obladowano muła na nowo i zabierano się w dalszą podróż, gdy przeraźliwy krzyk małej saki zwrócił ogólną uwagę. Ujrano zwierzę na długich nogach z kończatym pyszczkiem i takimiż uszami, podobne do wilka, sunące przez wysokie trawy, kierując się kryjomo ku źródłu. Spozrzęglszy ludzi, zwierzę stanęło, zwinęło się niejako, a potem rzucając się w stronę łąki, zaczęło uciekać ze wszystkich sił.

— To jest pies dziki — zawołał przewodnik. — Szedł pić do źródła pod naszym nosem! Pewno jest z tej samej bandy, którą dopierośmy słyszeli. Ale cóż to tam widać dalej?... to jakby jacyś łowcy...

Istotnie w głębi doliny ukazało się dwóch jeźdźców zbliżając się lekkim klusem. Ciągnęli za sobą wielkiego i niezgrabnego czworonoga podobnego do europejskiego wołu, ale który głowę i szyję miał obrosłe długą wełną czarniawą. Wyglądał dziko, a chwiały się za każdym krokiem, jakby ranny lub zmordowany. Jeden z jeźdźców ciągnął go, drugi popychał gdy się opierał. Między dwoma tymi doświadczonymi ludźmi i ich dzielnymi wierzchowcami, ogromne zwierze, pomimo wszelkich wysiłków było zupełnie bezbronne. Złowiono je za pomocą lasso, to jest długiego sznura z surowej skóry, w ciskanu którego w pełnym galopie konia, wpawymi są niezmiernie jeźdźcy meksykańscy.

— Bawol! — krzyknął Tomek spostrzegłszy jeźdźców i ich zdobycz.

— Nie, to żubr — odrzekł Melchior. — Bawol nie istnieje w Ameryce i niewłaściwie żubr nosi tu jego nazwę. Należą oni wprawdzie oba do rzędu bydła i jeden, równie jak drugi jest gatunkiem dzikiego wołu.

Na widok gromadki Melchiora żubr stanął i bystro wpa-trzył się w składających ją ludzi, ale trzaśnięcie z bicia jego pogromców, zmusiło go iść dalej i cała kawalkata spoczęła przy kępie drzew, u stóp których płynęło źródło z hukiem piorunowym.

— Oto dziczyzna która nas niewiele trudów kosztowała — rzekł człowiek z biczem do Melchiora, wypychając swego więźnia w głąb wody. — Złapaliśmy tego żubra bez wystrzału, tak go dzikie psy zmordowały

— Nieprzyjaciele biednego zwierzęcia w istocie pozostawili dość liczne ślady ostrych swych zębów na jego nogach — powiedział kapitan. — Ma nogi tak poszarpane jakby tańczył sarabandę w gęstwinie kaktusowej. Miał nie lada robotę chcąc się obronić.

— Opatrzmy je w domu — rzekł jeden z łowców. — Nasza *hacienda* *) jest tylko o dwie mile ztąd.

— Przyjacielu — rzekł kapitan — potrzeba mi młodziutkiego żubra. Jak myślicie, czy nie moglibyście mi dostarczyć takiego, i dostawić go do Benyamo, dokąd przybędę w końcu tego tygodnia?

— Nie mogę za to ręczyć senor. Pora na młode żubry jest cokolwiek spóźniona; ale jeżeli udajesz się pan do Benyamo, dobrze zrobisz zatrzymując się w naszej haciendzie na noc; gospodarz nasz najlepiej cię w tym przedmiocie objaśni. Jest to bardzo zręczny myśliwiec. Wszystkie te grunta na okolicę do jego *cercado* należą; pójdź pan z nami.

— On ma słuszność — rzekł przewodnik — znam to miejsce, jest to folwark nad rzeką. Leży nam prawie na drodze.

— Co on rozumie przez wyraz *cercado*? — spytał Tomek, gdy puszczono się w drogę w zwiększonej gromadzie.

— Jest to pewien rodzaj polowania uprzywilejowanego, zastrzeżonego. Gospodarz folwarku nad rzeką otrzymał pozwolenie, mocą którego on sam tylko ma prawo polować na pewnych oznaczonych gruntach. Ktokolwiek inny polując w tych okolicach, dopuszczałby się przekroczenia prawa.

Właściciel folwarku przyjął podróżnych z serdeczną gościnnością, ale gdy Melchior objawił mu cel swoich odwiedzin, rzekł:

— Żałuję nieskończenie, że nie mogę pana zadowolnić; moi pasterze chwyтали tuzinami dzikie cielęta tej wiosny, ale nie zatrzymałem ich u siebie. Posłałem dwa sąsiadowi do Czarnego domu, a on dał je swemu szaremu niedźwiedziowi.

— Szaremu niedźwiedziowi? On ma szarego niedźwiedzia? Nie wiesz pan ileby chciał za niego? — zapytał kapitan.

— Nie nazbyt drożyłby się, jak sędzę. Miał ich dwóch i zabił większego, ponieważ jadł bez miary. Ten który pozostał, jest w połowie swego wzrostu dopiero. Ale, możeby się panu przydała i pantera także?

— Tak; jeżeli nie jest okulawiona ani chora.

— A więc mój sąsiad ma od kilku dni panterę, na którą zamierzał psa wypróbować!

— Cóż to znaczy to wyrażenie?

— Jest to sposób przekonania się o wartości psa pasterskiego. Pies dotrzymujący placu panterze, jest dzielnym i odważnym zwierzęciem.

— Daleko ztąd jest Czarny dom?

— Około siedm mil. Staniesz tam pan z łatwością jutro przed południem, a do Benyamo dojdiesz poprzeczną drogą przez góry.

Po wieczery, podróżni rozciągnęli kołdry podróżne na placu, zdjęli z Czarnuła kosze i klatki, i kto żyw na folwarku, wszyscy zbiegli się na oglądanie dziwów.

— Na miłość Boską, co pan myślisz robić z tyloma dzikimi zwierzętami? — zapytał jeden z pasterzy, przyglądając się im z podziwem.

— Ma odbyć się w Europie wielka walka zwierząt — rzekł Menito z największą powagą — a my przybyliśmy tutaj, aby wyszukiwać najdziksze jak można zwierzęta i tam je posłać.

— Jakto, alboż oni tam nie mają byków tak jak my?

— Mają, ale walki byków zabronione są z tamtęj strony oceanu.

— O, jeżeli tak, to rozumiem; oczywiście w takim razie potrzeba im innych zwierząt. Szkoda, że nie mamy siodeł, bo moglibyśmy nałapać wam tyle dzikich psów ilebyście chcieli; oto je macie słuchajcie!...

Smutny przeciągły jęk rozległ się w przestrzeniach; psy dzikie zdawały się brać mocno do serca zawód, jaki je spotykał ze strony Europy.

— Nic dziwnego — rzekł śmiejąc się Tomek — jeżeli muszą iść spać bez wieczery, tyle się na nią napracowawszy.

— Przybywszy do Czarnego domu, Melchior kazał sobie pokazać zwierzęta jakie właściciel miał do sprzedania. Pantera była zdrowa, lekka, zwinna, jak łasica i w bogato centkowanej odzieży. Cenę ugodzono, dziesięć dolarów za oba zwierzęta.

— Najgorszy kłopot z tem — rzecze dozorca folwarczny, obecny przy ugodzie — że mamy jedną tylko klatkę na dwoje zwierząt.

— A więc odpowiedział właściciel — trzeba będzie nałożyć kaganiec na buzię jegomości niedźwiedziowi. Nasz woznica Piotr jedzie do Benyamo dziś w nocy, wsadź więc jegomości na tylne siedzenie swego wozu, bo to lichy lubi wygodę i woli jeździć niż chodzić.

— Ale jakże mu kaganiec założyć? — spytał Melchior.

— Zobaczysz pan.

Niedźwiedź miał wygląd nie wzbudzający wcale zaufania. Stał w ogrodzie na łańcuchu przy małym wodotrysku, a ujrawszy zbliżających się ludzi, skierował się ku pewnemu rodzajowi budy, gdzie sypiał; idąc mruczał i wytrzeszczał straszliwe zęby, ale właściciel wyprzedził go wołając na słuzącego:

— Skrop no go a dobrze! — i jednocześnie pchnął budę, która odsunęła się tak, że niedźwiedź nie mógł jej dosięgnąć.

Słuzący w mgnieniu oka przytwierdził kauczukową rurę do kurka wodotrysku i skierował otwór rury na niedźwiedzia. Pomimo ciężkiego łańcucha, poczuwszy tę kaskadę, niedźwiedź zaczął rwać się i skakać z niesłychaną zręcznością w różne strony aby od niej uciec; ale mocny i gęsty wodotrysk ścigał go wszędzie, przenikał go niejako na wskrós tak, że wkrótce uczuł się jakby w kąpieli:

— Zaczekaj — rzekł pan — zobaczymy czy kropienie jest dostateczne — i ujawszy spory kawał drewna, przysunął go jednym końcem do głowy niedźwiedzia, mówiąc:

— No, Jacusiu, przyjacielu mój, zobaczymy czy będziesz grzecznym chłopackiem?...

Niedźwiedź spojrzał na mówiącego, jakby go miał połknąć, schwycił w zęby pieńek drewniany i zmiażdżył go jak rzodkiewkę.

— Nie, jeszcze nie poskromiony, dalej Jaśku krop go jeszcze! — rzekł gospodarz.

Ulewa zaczęła się więc na nowo, bijąc silnym strumieniem prosto w niedźwiedzia, i dosięgając go ze wszystkich stron. Zwierzę wstawało co chwila na tylne nogi, wymachując groźnie przednimi, ociekającymi wodą, i usiłując niemi schwycić nieujętęgo nieprzyjaciela, wodę. Nareszcie sił mu zbrakło. Rozpaczając coraz szerzej przednie łapy, jakby dla równowagi, niedźwiedź powstał raz jeszcze, spróbował na próżno utrzymać się stojący, i padł na ziemię na wznak, wpół zduszony z głuchym i potężnym chrapaniem.

— Ostrożnie! zadusi się! — rzekł Melchior.

— Zaczekaj Jaśku! — rzekł gospodarz — jakkolwiek nie bardzo ufam mu jeszcze.

*) Folwark po hiszpańsku.

Wziął znów drewno i kilka razy uderzył niem zlekka niedźwiedzia drażniąc go tylko. Ale zwierze pozostało już spokojne, oddychając hałaśliwie, prawie zduszone i pozbawione przytomności.

(d. c. n.)

PYTANIE.

Pewne stare zamczysko słynęło na kilka mil wokoło w całej okolicy, ale nie piękną budową, ani też historycznym znaczeniem; do omszałych murów jego nie przylegała żadna baśń starożytna, żadna poetyczna legenda, tylko lud okoliczny opowiadał, że w zamku pokutuje.

Często też u wrót zamczyska zjawiali się ciekawi, a usłużny stróż, prowadził ich do wielkiej sali, zbudowanej oryginalnie w kształcie elipsy. Sala ta ponury przedstawiała widok. Na szarych bezbarwnych ścianach widniały ślady pleśni, a słońce tylko bladymi, skąpymi promieniami wdzierało się do wnętrza przez małe, okrągłe okienka, umieszczone w grubym murze, wysoko, tuż u sufitu. Zresztą nic, żadnego sprzętu, żadnego starego portretu nawet, które to w podobnych opowiadaniach zwykle jakieś tajemnicze miałyby znaczenie.

To też zwiedzający ogólnie ze zdziwieniem patrzyli wokoło szukając napróżno zapowiedzianych nadzwyczajności. Wtedy stróż staje w jednym wiadomym sobie punkcie sali i ruchem pełnym znaczenia i tajemniczości każe stanąć swym gościom w drugim, także oznaczonym miejscu.

Podróżni zdumieni, bo oto słyszą naraz jakieś tajemnicze szepty, słyszą w powietrzu głos jakiś cichy, ponury, pozagrobowy, który żąda litości, modlitwy, ku ulżeniu cierpieniom duszy. Podróżni nie wierzą uszom; nie, to być nie może to złudzenie chyba, a jednak słyszą wyraźnie jak ktoś mówi, prosi, skarży się i narzeka. Przecież sala pusta, ściana gruba, nikt więc poza nią ukryć się nie mógł; nie, to jednakże nie oszustwo, to nie głos istoty żyjącej, ale skarga pokutującej duszy. Do głębi przejęci opuszczają salę, a doznane wrażenie tego niezwykle wypadku zakreśla się im głęboko w pamięci.

Długo jeszcze zamczysko ścigało na siebie uwagę ciekawego, a bezmyślnego tłumu, gdy u progu mieszkania stróża, ukazał się podróżny innego pokroju i objawił życzenie zobaczenia tajemniczój sali. Stróż szczęśliwy, że znów kilka złotych wpadnie mu do kalety, chętnie spełnił jego życzenie, a nasz podróżny miał sposobność usłyszenia owych tajemniczycych głosów. Ale się nie przestraszył, nie przejął, nie zdziwił nawet; obejrzał tylko salę, potem zwrócił na swego „cicerone” uważne spojrzenie i ostro mu zapowiedział, że jeżeli nadal będzie ciągnął korzyści z zabobonnych ludzi, to go odda jako oszusta w ręce sprawiedliwości. Nasz stróż upadł mu do nóg, obiecał na przyszłość uczciwszą zająć się pracą, no i odtąd nikt już nie słyszał na zamkowej sali skarg pokutującej duszy.

Od tej pory stracił zamek urok tajemniczości, jaki go otaczał, jednakże ludzie zyskali na odkryciu, bo mieli naukę, że nie można dawać wiary podobnym opowiadaniom wymyślonym przez ludzi niesumiennych, ku obalamuceniu i wyzyskaniu łatwowiernych.

Ale skąd pochodziły te tajemnicze głosy?

HOMONIM.

(od Gołąbki pocztowej dla Jaskółki z nad Sekwany).

Przez długie wieki, z licznem braci gronem.
 Udziałem moim cześć bywała boża;
 A i dziś wielu darzy nas pokłonem.
 Przytem na przestrzeniach morza,
 Potęgi mojej rozbrzmiewa chwała.
 I z łona ziemi ludzka dłoń zuchwała
 Codziennie mnie wydobywa,
 A choć mnie nieba i ziemi zwał panem,
 Niewdzięczny człowiek nieraz mojem mianem,
 Wzgardliwie brata nazywa.

Łamigłówka liczbowa.

(dla Makolągwy, Baniuty i Amazonki podlaskiej
 od Królowej wróżek).

Z czternastu liter ułożyć imię i nazwisko znanego poety
 pisarza polskiego XVIII-go wieku.

- 5, 6, 3, 4. — Metal.
- 5, 6, 8, 7. — Miejsce zabawy publicznej.
- 2, 8, 2. — Bryła lodu.
- 7, 9, 3, 4. — Miasto wsławione cudem.
- 8, 9, 7, 1. — Rodzaj skorupiaków.
- 9, 8, 4, 6. — Mocny napój.
- 10, 4, 3. — Rzeka w Galicyi.
- 10, 9, 8, 4. — Imię biblijne.
- 10, 9, 8, 3, 4. — Zwierz leśny.
- 10, 4. — Karta do gry.
- 10, 14, 9, 8, 7, 4. — Mineral.
- 11, 8, 1, 10. — Wiosenny kwiat.
- 13, 14, 8. — Oznaka żałoby.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Zadania konikowego:

Po brzozowym cichym lesie
 Dziewczę idzie, dzbanek niesie,
 Niesie dzbanek z jagodami,
 Z jagodami borówkami.
 A dla Boga, co się dzieje,
 Kto się śmieje? las się śmieje —
 Kłaniają się przed nią drzewa,
 Ona śpiewa i las śpiewa,
 Więc przystanie, dech zatrzyma,
 Patrzy w koło i nic niema.

(Jagoda).

Szarady:

Sasanki.

TREŚĆ: Widome a niewidzialne p. Z. U. (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Ryś, urywek z podróży (z drzew.) — Labirynty (z drzew.) — Myszy tańczą, gdy kota nie czują, komedyjka w jednej odsłonie p. P. Zabokrzecką. — Poszukiwacze dzikich zwierząt. — Pytanie. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Przygoda Jaska (z drzew.) — Jałmużna Teosi, wiersz p. Z. Morawską. — Powrót Amika. — W karnawale. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



Przygoda Jaśka.

Było to w Marcu gdy czarna wśród najpiękniejszej pogody zrywa się śnieżna zawieja. Mały Jasiek syn szynkarza powracał z blizkiego miasteczka, wlokąc za sobą sanki wyładowane dużym gąsiorem blaszanym i mnóstwem innych różnego rodzaju zakupów. Zaprężony wpas do owych sanek, oburącz trzymając nad głową duży parasol, dodany przez troskliwą matkę w podróż, dzieciak oblepiony śniegiem, zmarnięty widocznie, zaledwo mogąc poruszać nogami, płakał głośno idąc i wlokąc wózek za sobą. Poruszał się ostatkiem siły; aż wtem gwałtowniejszy podmuch wichru wyrzucił parasol na nice, tworząc z niego tak zwany „tulipan” i chłopiec doprowadzony tem do ostateczności, zmożony zupełnie walką a zawieją, spuścił „tulipan” ku ziemi, a oparłszy się na nim jak na miotle, zaczął przeraźliwie płakać i stanął, bezsilny. Nikt jednak nie przychodził mu w pomoc, więc uspokoił się powoli i pomyślał że nic tu nie wypłacze, a zimno dokucza coraz więcej. Trzeba sobie jakoś radzić samemu. Widział że nie rozprostuje sam parasola, a ten odwrócony nie ochroni go od śniegu, który sypał coraz gorzej, położył go więc na sankach ujawszy oburącz postronki nich, rozejrzał się dookoła odpocząwszy trochę, podążył ze swym ciężarem prosto do wsi. Stanął wkrótce w miejscu, rozgrzał się gorącą wieczszą i rodzice pochwalili go, że zamiast szlochać bezsilnie, przez co byłby pewno przed nocą nie dociągnął do domu, tak dobrze sobie poradził;

w każdym bowiem nieszczęśliwym wypadku nie należy rozpaczać, lecz myśleć raczej o sposobach ratunku.

JALMUŻNA TEOSI.

„Poratuj mnie panienko, jam bardzo zgłodniała”!
Mówiła do Teosi uboga dziewczyna.
Teosia w swęj kieszonce i grosza nie miała,
Lecz nagle, już odszedłszy, sobie przypomina
Że ma w tece bułeczkę daną na śniadanie
Którą matka włożyła dodając ze łzami:
„Ta bułeczka Teosiu za obiad ci stanie,
„Bo nie mamy nic więcej, bieda tuż nad nami”,
Teosia jednak swoją oddała bułeczkę
Myśląc sobie: „To dziewczę głodniejsze jest może,
„Cóż mi szkodzi, że dzisiaj pocierpię troszeczkę,
„Wszak Bóg dobry jest w niebie, to nam dopomoże”.
Z. Morawska.

POWRÓT AMIKA.

Siedmioletnia Frania miała pieska Amika, i bardzo go lubiła, bardziej niż wszystkie lalki i zabawki, których miała przecież dużo i ładnych, bo rodzice często kupowali cacka dla grzecznej i posłusznej córeczki, a ona znów nigdy ich nie niszczyła, chociaż bawiła się nimi. Amik dla tego droższy był Frani od wszelkich zabawek, że był żywy i umiał kochać Franię. Gdzie tylko poszła, on zawsze umiał ją odszukać, gdy tatko Frani powiedział mu:

— Amik! szukaj panienki!

Amik przykładając zaraz nos do ziemi, a ślad zwycięwszy, odwracał się do pana, poszczekiwał, i na gwałt szukał panienki, dopóki jej nie znalazł: czy to wśród wiejskich dzieci, które wraz z mamą czytać uczyła, czy wpośród stada ogromnego owiec, które sama trawką karmiła, gdy je do niej przypędził owczarz, wdzięczny za to, że Frania wraz z mamą pielęgnowała chore jego dziecko. Znalazłszy panienkę, Amik mądry zaraz zciśzał głos, pocichutku tylko naszczekując, jakby mówił:

— Słuchajcie panienki Frani, wy dziatki, i wy owieczki!... bo ona rozumna, słucha mamy swojej! hap! hap!

Tak mówił mądry Amik i wszyscy przyznawali mu słuszność. A wtem pewnego dnia Amik nie przyszedł na noc spać do pokoju. Frania okropnie się zmartwiła. Myślała, że mu się przytrafiło jakie nieszczęście, że utonął, albo go wilki porwały. Ze zmartwienia nie mogła Frania spać noc całą, ani jeść dnia następnego. Nad ranem drugiej nocy płakała także, aż tu coś drapie do drzwi od dworu: drapl... drapl... Frani serce mocniej zabiło, ale sądząc że jej się zdaje i nie chcąc robić hałasu, wyszła cicho z łóżeczka i obudziła bonę:

— Kochana bono, mnie się zdaje, że to Amik drapie tam do drzwi od dworu — rzekła nieśmiało.

— Zdaje się Frani, Amik, gdyby miał przyjść, toby wczoraj przyszedł — odpowiedziała bona, ale mimo to wiedząc, jak Frani drogim był Amik, wstała i poszła do drzwi, uchyliła je i aż krzyknęła, ujrzawszy istotnie Amika, ale Amik nie był sam, koło niego stał pies jakiś nieznany, duży, taki poszarpany, zraniony, smutny i ze spuszczoną głową, że nie wiadomo było co myśleć o takim przybyszu. Zobaczywszy go, Frania zawołała:

— Amik przyprowadził jakiegoś biednego przyjaciela swego, trzeba ich koniecznie pożywić, bo pewno oba są głodni!

Tak się też istotnie zdawało, bo obcy pies niezmiernie smutno spuszczał oczy, jakby się wstydził, jako nie przyzwyczajony do położenia nadzwyczajnego, w jakim się znajdował obecnie, a zaś Amik tkliwie patrzył na swą panienkę i po swojemu coś jęj skomlać opowiadał, co ona doskonale rozumiała:

— Amik opowiada jakieś okropne przygody swego przyjaciela, ach, moja bono, zlituj się, daj im jeść i pić co najprędzej i wykapać ich trzeba! — prosiła Frania.

Bona była w wielkiej obawie, bo psy nieznajome, samotnie się włóczące, mogą być chore, zatem niebezpiecznie jest się z nimi zadawać, a i trudno też było robić natychmiast w nocy letnią kąpiel. Szczęściem grzeczna i posłuszna Frania dała sobie to wszystko wytłumaczyć, i wstrzymała się nawet od pieszczenia Amika, choć aż płakała z radości że wrócił, i ze smutku na widok jego wygłodzenia. Bona za to przygotowała dużą miskę różnego jedzenia pozostałego z obiadu i postawiła ją przed dwoma zbiedzonymi psami, a potem, położywszy im dywanik do spania, zamknęła je w sieni, gdzie przecież w lecie nie było zimno. Frania byłaby serdecznie chciała choć pogłaskać Amika, ale się przez rozsądek od tego wstrzymała, i tylko przez drzwi słysząc jak oba psy jadły „chłap, chłap”, z wielkim apetytem, bardzo się tem ucieszyła, wiedząc że dobry apetyt jest zdrowia oznaką. A gdy potem psy napiły się wody i na owym dywaniku ległszy głośno chrapać zaczęły, dopiero Frania z lekkim serduszkim pozwoliła bonie zaprowadzić się do łóżeczka i zasnęła, spokojna po długim o Amika zmartwieniu.

Nazajutrz, gdy mamie wszystko opowiedziano, pochwaliła mama bonę, że była z psami ostrożna i że jeść im i pić dała, a Franię pochwaliła, że słuchała bony. Potem przez kilka dni jeszcze obchodzono się ostrożnie z obcym psem przybłądą, ale gdy pokazało się że był zdrow i przy dobrem pożywieniu doskonale zaczął wyglądać, wykąpano go razem z Amikiem, i oba ci przyjaciele razem odtąd pozostali w służbie u Frani, chodząc za nią wszędzie, a w nocy domu pilnując. Frania nieraz rada była dowiedzieć się dziwnej Amika przygody, która mu przyjaciela zjednała, i pieski byłyby pewno na jej pytania odpowiadały, gdyby to było możebnem, ale że rzecz się miała przeciwnie, więc dziwna przygoda Amika pozostała na zawsze tajemnicą. Domyślano się tylko, że pewno ktoś nieoświecony i niesumienny porwał pięknego Amika aby go sprzedać, ale Amik uciekł i jeszcze

biednego przyjaciela do dawnych państwa przyprowadził.

W KARNAWALE.

— Pączki świeże, pączki! — wołał ochryplym od ciągłego krzyku głosem, dziesięcioletni chłopczyna, przebiegając ulice miasta. Już się ściemnia, a biedny Tomek ma blisko do połowy zapelniony koszyczek, przytem głód mu mocno dokucza, a zęby dzwonią od zimna. Zobaczył z daleka dwóch młodych chłopców, biegnie też do nich i zachwala swój towar: — Panoczku, gorące pączki! — Młodszy, pewnie w Tomka wieku, odwrócił się, zaśmiał i krzyknął szyderczo:

— Zjedz je sam, kiedy takie dobre!

Łzy potoczyły się biednemu dziecku po zmarzniętym policzku, bieży jednak dalej i zaczyna ciepło ubraną dziewczynkę, ta zagląda do kieszeni i pyta:

— Dasz dwa za pięć groszy?

— Nie mogę, panienko — wyjąkał Tomek.

— To dawaj jeden, wzięła i pobiegła w swoją stronę.

Chłopiec wolniejszym już krokiem idzie dalej, wreszcie prawie z rozpaczą woła: — pączki z parowej mączki nie drogo kosztują...

— Pokaż no je, trąca go w ramię jakaś porządnie ubrana jejmość, w fartuchu — kupię z dziesięć, to się dzieciaki ucieszą.

Uścześnieśliwiony chłopiec nadstawia koszyk, a kupująca wybiera prędko największe pączki, płaci należność i idzie dalej.

— Jeszcze dwanaście pączków — westchnął Tomek — jeśli tych nie sprzedam, mam tylko dziesięć groszy zarobku z całodzienniej lataniny, a tu trzeba najmniej złotych na kupienie trochę mięsa i drewek dla matki.

— Biedna, biedna matka! — myślał, siadłszy na schodach zamkniętego sklepu.

Matka jego była w istocie bardzo biedną, póki ojciec żył, było jako tako, reperował stare obuwie, matka brała bieliznę do prania, było o czem żyć. Przytem izba była duża, jasna. Ojciec nieraz przyśpiewywał, a przed świętami, to nawet czeladnika brał do pomocy, nie mogąc nadążyć robocie, matka nie prała bo czyściła, porządkowała, a potem piekła kołacz na święta.

W każdą niedzielę wołał do siebie ojciec chłopca sadzał go przy sobie i pokazywał mu duże litery na elementarzu, a zawsze mówił: ucz się Tomek, to ci dobrze będzie na świecie. Cóż kiedy przyszła choroba, matka wszystek grosz zaoszczędzony wydała na lekarstwa; potem coraz to częściej znikwały lepsze sprzęty i rzeczy z izby, wreszcie prawie nic nie zostało a biedny ojciec umarł. A przed skonek mówił jeszcze do chłopca: „pamiętaj Tomek, o matce”.

Inaczej już było po śmierci ojca, ale jednak żyło się jakoś, matka przeniosła niewyprzedanych przez czas choroby ojca sprzętów resztę, do ciasnej izdebki w sute-renach, wynajmowała się na cały dzień do prania, Tomek biegał sobie wtedy z towarzyszami po ulicach, dokazywał a o jutro nie miał kłopotu.

Roznosił kuryery, w adwent obwarzanki, potem chodził z szopką, a zawsze parę groszy się zarobiło; było mniej, to się i na głodno nieraz spać poszło, a za to gdy więcej się zbierało, kupił sobie mleka, bułek, i znowu było dobrze.

Matka już nie troszczyła się nigdy o jego pożywanie, a wracał dopiero wieczorem. Wtedy matka brała jego ubranie i łątała późno w nocy, a on wyciągnięty na ławce i przykryty matczyną chustką, zasypiał do rana.

Nie pomyślał więc nigdy że biednej matce zabraknąć może roboty, a teraz wyrzucał to sobie.

Teraz umrze ona chyba z głodu, bo leży chora w łóżku już z tydzień, kazał ję doktor jeść mięso! a ja... I zakrył biedny chłopczyzna twarz rękami, — ale już latarnie zapalają — pomyślał — trzeba iść do piekarki oddać ję pieniądze za sprzedane pączki, matczyśko czeka głodne, bo niewiele chleba od wczoraj zostało. Tak mi ciężko się jakoś podnieść — szeptał — jeszcze chwilę posiedzę na tych schodkach. — I przymknął oczy, czuł szum w głowie, słyszał turkot powozów, ale myśli zebrać już nie mógł. Przechodnie dążyli śpiesznie, potrącając się wzajemnie, mało jednak zwracali uwagę na chłopca, skostniałego od zimna z koszykiem pączków przy boku. Niejeden uśmiechnął się z litością, ktoś nawet bezmyślnie mruknął:

— Cóż to za próżniak zasnął na schodach?

Dopiero w godzinę może, głosik jakiś srebrzysty dał się słyszeć wśród ogólnego gwaru:

— Stasiu — mówiła 8 letnia blondynka, do prowadzącego ją młodego studenta — ten chłopiec zaziębi się śpiąc tu na schodach.

— Ależ on chyba już zmarł — odparł młodzieniec, nachylając się nad zsiniałą twarzyczką Tomka; wziął śpiesznie śniegu leżącego na schodkach, wycierał mocno twarz i ręce chłopca, lecz nie udało mu się przywrócić na pół zmarznięte dziecko do przytomności.

— Braciszku, weźmy go do domu — prosiła dziewczeczka.

— A balik u cioci, na który się od tygodnia cieszyłeś?... do domu daleko — zanim zawieziemy i wytrzeźwimy tego biedaka, upłynie dobra godzina, tańce zaś już się rozpoczęły, a przyjść na koniec zabawy to nieprzyjemnie dla ciotki i zamieszanie wśród tańczących, trzeba więc wybierać: zabawić się lub ratować tego chłopca?

Zosi łyż stanęły w oczach; gdy pomyślała o sukience z niebieską szarfą, atlasowych pantofelkach, które miała włożyć przyszedłszy do ciotki, ale gdy jakiś przechodeń z latarką właśnie w téj chwili oświecił całkowicie naszego Tomka wraz z koszykiem pączków, gdy ujrzała jego twarzyczkę siną od zimna, otrząsnęła się z przykrego wrażenia i odrzekła:

— Jabym i tak się nie bawiła, myśląc o tym biednym chłopcu.

(d. n.)

SZARADA.

Pierwsze wprost litera, drugie wspak litera;
Wszystko nieraz wiele słodczy zawiera.

ZAGADKA.

Z pięciu liter się składam,
Nic nie piję ni jadam,
Wiecznie jestem w podróży,
Żyję krócej lub dłużej,
Dłużej w jaśni niż w mroku,
Lecz najdłużej: pół roku!...
Wygadałem się zdradnie,
Teraz każdy mię zgadnie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady: Niemen.

Łamigłówki w kwadraciku: Rej — Ewa — Jan.

Skrzynka do listów.

Pochlebia nam niecierpliwość z jaką **Niezapominajka z nad Warty** i inni nasi czytelnicy wyglądają „Wieczorów”, ale zwłoka w otrzymaniu ich nie z naszej pochodzi winy. Jeżeli nie zajdzie żadna nieprzewidziana przeszkoda, to „Wieczory” w piątek oddawane bywają na pocztę.

P. I. Angelo w Rytwianach. Atlas Wędrowca kosztuje rs. 2 kop. 70. Wędrowiec rs. 8., Gazeta Świąteczna rs. 3, razem rs. 13 kop. 70, z przysłanych przeto rs. 17 pozostało rs. 3 kop. 30, należy się więc dopłaty do prenumeraty całorocznej rs. 1 kop. 70.

P. Bychowcowej w Joalinie. Żądany kwartał „Wieczorów” i książki posłane, ale nie rachowała Pani przesyłki pocztowej, należy nam się przeto za nią kop. 20. Prospektów na pisma francuskie nie przysyłają nam wcale, nie możemy ich więc posyłać do wyboru, trzeba tylko wybrać sobie jedno z tych pism które się zna.

Psońcio kochana, mamy nadzieję, że nie jesteś tak straszna jak cię twój pseudonym maluje i miło nam zawiązać z tobą korespondencją, tem więcej, że jak sądzimy, siostra życzliwie usposobiła cię dla nas. Paniemek w twoim wieku dużo bardzo pisuje do nas.

Wiochnie z pod Lublina w zamian za życzenia, składamy powinszowanie. Powiada o sobie: „nie należę do grona pesymistów” i jeszcze dodaje: „szczęściem”. Tak, dziewczeczko *szczęściem!* i my to za tobą powtarzamy. Brzydka to a groźna choroba: odejmuje moc do czynu, wiarę w jego pożytek, czyni człowieka nicością moralną, tem zupełniejszą, że wysokie o sobie mniemanie mającą. Kto jednak tak otwarcie spowiada się z win swoich i błędów, ten widocznie nie grzeszy zarozumiałością. *I dla tego* też, może z czasem „pączki” dopełnią się dalszym ciągiem, który coś wart będzie. Pracy tylko i wytrwałości!

Zrobiliśmy nową znajomość, z której bardzo jesteśmy zadowoleni: zleciał do redakcyi (listownie) groźny ptak **Orzeł czubaty**, objawił, że ma ochotę „urwać łeb” Siostrze Agacie, z Barwałdzkiego zamku, ale dał nam przytem dowód, że pamięta o biednych dzieciach którym zimno. Więcej było z nim tedy strachu, niż złego bo przecież to jakiś drapieżnik! Byłe tylko nie nawinęła mu się Siostra Agata, bo źleby z nią było!

Czarny Gołąb niech się nie lęka sąsiedztwa, w którym go umieszczamy i przyjmie zapewnienie, że nadesłał dobre rozwiązanie.

Niezabudce czeskiej dziękujemy za serdeczne słowa. Mołodyca ukraińska dawno się już nie odzywała.

Junonie podziękowanie zasyłamy, również jak i **Lilijce z nad**

Oslawy, dołączając jeszcze dla tej ostatniej życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

I my nie rozumiemy, co onieśmieliło **Pieszczotkę**. Rozpieszczone jedynaczki bywają zwykle śmiałe, do tych szczególnie, o których z góry wiedzą, że odpowiedź dadzą „zachęcającą”.

Jaskółce z nad Sekwany podziękowanie w naszym i biednych imieniu.

Kapłance Znicza życzymy przede wszystkim zdrowia. Przykra to rzecz w łóżku leżeć i ołówkiem pisać. Może to dla tego, udzielona nam wiadomość, dotycząca się p. H. jest zupełnie mylną? Dziewczątko drogie, trzeba być wierną obranemu pseudonimowi: nad Zniczem wewnętrznego pokoju czuwać trzeba jak prawdziwa kapłanka. Nie godzi się poddawać smutkom, rzeczywistym nawet a nie dopiero „bezzasadnym”; wesołość i pogoda myśli są swego rodzaju obowiązkiem, choćby dla tego, że nam ułatwiają spełnienie obowiązków.

Istotnie **Kalijo Per.** niema dla nas miłszego tytułu i miłszej obietnicy nad tę, że nie przestaniesz być czytelniczką pisemka naszego wtedy nawet, gdy już przejdziesz do grona staruszek.

Białemu Orłowi z nad Dniepru posłałimy żądane numeru; na pytanie dotyczące się powieści odpowiemy, gdy czas nam pozwoli zajrzeć do roczników „Wieczorów”.

Redakcja pozwoliła mi teraz w każdym numerze umieścić kilka słów odpowiedzi: zaczynam więc od podziękowania **wszystkim** siostrzyczkom, które mi przysłały życzenia. Wszak wierzyć, prawda, że i ja wam wszystkiego dobrego życzę? **Kwiecie Łotosu**, nie odebrałam listu, o którym wspominasz, a za słowa w obecnym zawarte, dziękuję.

Malutka Tęczo z nad Jatrani, tak jak tego żądasz „*przedziwko*” ci odpowiadam, że dobrze odgadłaś przyczynę powstania śniegu i serdecznie cię całuję, również jak i Szarą Kotkę, z którą miło mi zawrzeć znajomość, tembardziej, że to Kotka, która zamiast figlować lub drapać, głaszcze biednych...

Biała Peretko łamigłówni choćby najlepiej ułożone, zawsze muszą czekać swojej kolei. I ja przechodziłam niegdyś przez tę szkołę cierpliwości, wiem jak jest trudna, ale... nic już na to nie poradzimy.

Ty za to **Gwiazdko Jerozolimska**, nie wystawiasz na próbę mojej cierpliwości, choć zdajesz się obawiać tego. Owszem, list twój czytałam z zajęciem: dowodzi on, że myślisz poważnie, że kochasz swoich, że znasz ich położenie, oraz rozumiesz dla czego takim jest, nie innym. I ja z tobą się zgadzam, że zawsze i wszędzie lepszy zagorzały nawet zachowawca, niż odstępcą.

Nie, **Poranku Majowy**, dzięki Bogu nie przyjaźni i nie serc kochających mi braknie, ale że tego skarbu nigdy nie za wiele, więc też z wdzięcznością przyjmuję życzenie, aby wzrastał nieustannie.

Sprzyszyło ci się być gospołą, **Gospośiu z nad Warty** i Wróźbiarką szczęścia zostajesz? Z powodu słów towarzyszących uwiadomieniu mnie o tej zmianie, za złe ci tego brać nie mogę... Ale jeszcze piękniejszy tytuł, jak być *gospołą*, to jest na małą skalę opatrnością domową?

Dawniej **Siekierki** nie zapomniano w redakcji, dzisiejszej **Dzieweczce z wiejskiego dworku** serdeczne podziękowanie w imieniu biednej dziatwy. **Cichy Wodzie** w swoim własnym znowu imieniu dziękuję za opis Wieliczki.

„Nowej, lecz już kochającej czytelniczce”, jak o sobie powiada **Trawka stepowa**, odwiedzam się uściskiem za to, że zaledwie się pisać nauczywszy, już mnie liścikiem obdarzyła.

Symfonio droga, na żądanie podobne twojemu, a tylokrotnie już powtarzane, zawsze bywała i być będzie odpowiedź — odpowiednia.

Niezapominajka z nad Warty wiedziała, jakie życzenia mi są najmiłsze. **Niezapominajko z Polesia**, za dowód pamięci o biednych dzieciach życzę ci, byś coraz błękitniejszym kwiatem rozkwitała. **Kapłanko Znicza** wszystkie twoje domysły są mylne; „żał” zaś do

redakcji o tyle słuszny, że istotnie z winy zecera popełnione zostało opuszczenie. Liścik *musi* czekać swojej kolei, jak czekają wszystkie inne. O numer żądany proszę się zgłosić do redakcji.

Biedny **Kłosku litewski**, więc i ty mogłeś „pójść za wrócone zdrowie podziękować Bogu” do świątyni tej, co w „Ostrój świeci bramię”? Z prawdziwym współczuciem czytałam o twojej chorobie. Przesyłka rubla dostateczna na kupno żądanej książeczki.

Stanie się podług życzenia **Zosi Z.** cieszę się także mocno, że nagrody przysądzone **Gloksyi** i **Radomiance** sprawiły im taką przyjemność.

Rusałce Hr. z przykrością donoszę, że odpowiedź na konkurs spóźniona. Nie przeszkadza to wszakże **Rusałce** być *istotnie* użytecznym członkiem rodziny, choć ma zaledwie lat 14. A ten braciez opieką jej otoczony, Stańczyk, już także jak widzimy użytecznym być potrafi, skoro bratu życie ocalił. Jedyny to chłopczyk, który nadesłał odpowiedź na konkurs. Nie chciałabym być złośliwą, ale bierze mnie chęć wyrazić przypuszczenie: może dla tego, że on jeden mógł się czemś podobnym pochwalić? Powiastka: „*Gucio zaczarowany*” kosztuje rs. 1 kop. 20.

Dziękuję ci serdecznie za sympatię, oraz za gotowość położenia we mnie ufności, **D...** Dla czego tak ostręczający wybrałaś pseudonym? Dziwnie by jakoś wyglądał przy nim dodatek: „*kochana*”, chociaż ten ci się z prawa należy, jako nowej siostrzyczce. Prosimy więc o wybranie innej nazwy.

Jakaś ty pocziwa, **Czarnooka z Puszczy!** Przyczyną spóźnienia była choroba twoja, a ty jeszcze za spóźnienie przepraszasz! Czyż w obec tego potrzebujesz nawet prosić, abym cię tłumaczyła?

Nie, **Niezabudko czeska**, nie wątpię, o waszej przyjaźni: za wiele mam ciągłych jej dowodów.

Oto i **Cyganecka z nad Wisły** ufnie i szczerze jak siostrze rodzonej, opowiada mi czego pragnie, i co marzy, a wszystko co mówi, tak chlubnie świadczy o jej sercu, że rada nie rada, kochać ją musi; zawsze wszystkim wam drogie siostrzyczki sercem całam oddana

Gołębka.

Ukochana **Lipo z Pawłówka i Pieszczotko**. **Lipo** droga myślałam, żeś już o mnie zapomniała. Ucieszyłam się więc bardzo twym listem. Przez Konin przejeżdżałam, może byłam blisko miejsca twego zamieszkania? **Pieszczotko**, imię me z pięciu liter, co do wieku, to niedługo wyłączoną zostanę z konkursów, co mię bardzo smuci. Ściskam was drogie siostrzyczki, życząc w nowym roku szczęścia i proszę nie zapominać, o dawniejszej **Gospośi z nad Warty**, a dzisiejszej **Wróźbiarce szczęścia**.

Wszystkim „korespondentkom **Wieczorów**” przesyła życzenia noworoczne, jak również donosi, iż pseudonym dawniejszy, **Gospośia z nad Warty** zmienia na **Wróźbiarkę szczęścia**.

Kochana **Stokrotko polna i Wesoła Krakowianko**. Bardzo mi się podobały wasze pseudonymy, to też pragnę poznać was bliżej, proszę donieście mi gdzie mieszkacie, ile macie lat, jakie są wasze imiona, ile macie rodzeństwa? Ty, droga **Krakowianko**, sądząc z pseudonymu musisz być bardzo wesoła, czego i mnie nie brakuje. Czy dawno pisujecie do **Wieczorów**? Ja drugi rok koresponduję z tem drogiem pisemkiem i tak je polubiłam, że chyba nigdy z niem się nie rozstanę, a największą przyjemnością dla mnie jest odbieranie liścików od was, drogie siostrzyczki. Przesyłam wam milion pocałunków, **Bombie** i **Lilijce** polskiej załączam serdeczne pozdrowienia. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana **Świtezianko**. Ucieszyłam się niezmiernie twoim liścikiem i proszę cię bardzo, abyś mi doniosła, jak się nazywa twoje rodzeństwo i pod jakimi pseudonymami pisuje do **Wieczorów**. Co ci się tam najlepiej podoba? mnie „*Szesnaoletni wojewoda*”. Całuję cię serdecznie, *Świtezianka Mickiewicza*.

Droga **Niezapominajko z Polesia** i **Żabciu z nad Horynia!** Wiem **Niezapominajko** kim jesteś, nazywasz się **A. B.** masz lat jedenaście. **Żabciu** czy należysz do konkursu i gdzie mieszkasz? Co robicie wieczorami? Chciałabym z wami korespondować. Ściskam was; *Symfonia*.